

## **I jeżeli coś osiągnąłem to dzięki samotności...**

Poniżej zamieszczamy tekst przemówienia Czesława Miłosza po wręczeniu mu w dniu 11 bm. dyplomu doktora honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Tytuł jest zdaniem wyciągniętym z kontekstu wypowiedzi poety i przekazany w całości przez redakcję Kuriera Lubelskiego.

### **Magnificencjo, prześwietny Senacie, drodzy uczestnicy tej uroczystości.**

Czuję się jak student, który zasnął nad książkami i śni, że nagle dostał doktorat, a nie rozumie jak to się stało i czy naprawdę znaczy to, to nie musi jutro zdawać egzaminu, do którego się przygotowywał. Porównanie to nasunęło mi się być może dlatego, że od chwili kiedy wydrukowałem pierwsze moje wiersze w roczniku naszej uczelni ALMA MATER VILNENSIS, zdawałem dużo egzaminów, z różnym, niekoniecznie dobrym, wynikiem. Ale ten sen w przededniu egzaminu ma również coś wspólnego z dziwami upływającego czasu, bo nie jestem całkiem przekonany, że było rzeczywiście to, co przytrafiło mi się w różnych bliższych i dalszych krajach od dnia, kiedy opuściłem moje uniwersyteckie miasto, łącznie z przekładami moich książek na egzotyczne języki i karierą profesorską w Kalifornii. Przede wszystkim jednak sen studenta naprowadza na kontrast pomiędzy niepokojem, niewiedzą, niezdecydowaniem młodości i powagą togi oraz biretu, w które został przybrany. A przecież ciągle się zdarza, a nawet jest to regułą życia wśród ludzi, że szata jaką nosimy pokazuje nas innymi niż jesteśmy we własnych oczach. Oswajamy się z nią stopniowo, nie bez tego jednak, żeby ów ja prawdziwy, odczuty od środka, nie zakładał cichego protestu marząc o szacie mniej może obszernej, ale bliższej jego ciału.

Prawdopodobnie wielu tutaj obecnych zadaje sobie pytanie co naprawdę myśli stary poeta. który w swoich zagranicznych wędrówkach zebrał trzy międzynarodowe nagrody, w tym Nagrodę Nobla, i po trzydziestu latach wraca do kraju swego języka. Przede wszystkim chciałby skierować ostrzeżenie do licznych chyba na tej sali adeptów literackiego zawodu. Zadrżycie jeżeli zaczynacie pisać wiersze. A jeżeli już piszecie, starajcie się nie ogłaszać ich drukiem. Mówię to dlatego, że słowo drukowane ma przedziwną zdolność zastygania w formę, która wkrótce staje się autorowi obca i w której nie może już siebie rozpoznać. Tym niemniej musi ponosić za nią odpowiedzialność, skoro została podpisana jego imieniem i nazwiskiem i tak oto wszystko co jest dla niego przeszłością składa się na obraz społeczny jego dzieła i osoby. Gonił i zdawało mu się, że

już zaraz uchwyci, a co wychodziło spod jego pióra traktował jako próby, jako wstęp do prawdziwego dokonania. Aż nadchodzi dzień, kiedy ogląda się wstecz i widzi, że wszelka forma tymczasowa zamienia się w jego dom na zawsze. Jest przez nią schwytyany i hamowany w dalszym pościgu, podczas gdy sam nie ma już nad nią kontroli.

W młodości miałem pewne wyobrażenia o tym, czym jest wiek szacowny, mgliście rysujący się gdzieś no pięćdziesiątce. Przedstawiał mi się jako spokój zakończonego dzieła, owocobranie, łagodna medytacja nad tym co się prze-żyto. Teraz za kilka dni, już siedemdziesięcioletni, wiem jak bardzo te wyobrażenia były mylne. Bo starość okazała się gorzką wiedzą, ale także niepokojem, nienasyceniem i większym niż kiedykolwiek podziwem dla cudowności życia, a także nieustannie utrzymywaną nadzieją, że jeszcze wprawię rękę i będę podobny do tych japońskich malarzy, którzy dopiero obchodząc swoje dziewięćdziesiąte urodziny mówili: zaczynam umieć malować. I jak łatwo się domyślić, jestem zarazem świadomy ile w tym kryje się złudzeń, skoro wyzwolenie od tego co dla innych jest mną samym pozostanie bardziej moim sekretem, niż nową formą, która by przewyciężyła tamtą dawną, jako że z wiekiem zwiększa się wybredność i przybywa niechęci do dostępnych nam środków wyrazu.

Być może okres, w którym wypadło mi żyć, cała spazmatyczna historia Polski i świata jest szczególną przyczyną tego poczucia niedostateczności. Medytując nad nieprawdopodobnymi losami ludzi, miast i krajów, zdumiewałem się, że tak mało z tragedii mego stulecia znalazło wyraz w słowie, a jeżeli, to tylko w okruchach wypaczających rzeczywistość. Rzeczywistość piętrzyła się nade mną i piętrzy się niby olbrzymia góra, której nie można wzrokiem ogarnąć. Również ta rzeczywistość codziennego dnia w Polsce, utrzymywana nadludzką niemal cierpliwością i rozważą całej naszej wielkiej wspólnoty. Zdaje mi się czasem, że taką wielkość zamknąć w słowie potrafiliby inni, ci których jestem zastępcą. Bo nieobecność wielu ludzkich istnień, milionów jak w Polsce, zabranych przez śmierć zanim się spełniły, nie może nie zmieniać historii i kraju i jego literatury, stąd myśl, że piszę zamiast nich, zamiast lepszych ode mnie i bardziej utalentowanych.

Byłem nazywany katastrofistą i przypisywano mi wiarę w rychłą zagładę ludzkiego gatunku, wśród scen jak z Objawienia św. Jana. Byłem nazywany też moralistą i dopatrywano się w moich utworach rzadkiego dzisiaj przywiązania do niezmiennych norm etycznych. Te nazwy nie są całkowicie dokładne i wiele z tego co pisałem wyjaśniłoby się jako ucieczka od nich. W miarę upływu lat coraz mniej zadowalał mnie podział, który jest chyba tłem wszelkiego katastrofizmu, podział historii na normalną przeszłość, nienormalną terażniejszość i żalobną przyszłość. Coraz bardziej też drażnił mnie w literaturze ton lamentu nad rzekomo beznadziejnym losem nowoczesnego człowieka, co zresztą słyszałem dookoła siebie od młodości. Nie żeby literatura nie dała się odczytywać jako wróżby, które się spełniły. Już w ponurym tonie dekadentów,

symbolistów, modernistów była zapowiedź wielkiej rzezi, pierwszej wojny światowej, która stała się końcem i haniebnym ukoronowaniem dziewiętnastego wieku. A jednak o ich skargach myślimy dzisiaj bez życzliwości. Prawdopodobnie to samo spotka dzisiejsze szlachetne w intuicji nihilizmy i ubolewania nad duchowym wydziedziczeniem. Teraźniejszość jest nienormalna, ale taka była prawie zawsze i normalniała tylko we wspomnieniu. Uczyliśmy się też żyć z katastrofą jako integralną częścią historycznego czasu, według wzorów Apokalipsy, która nie jest historią, ale meta - historią, to znaczy opowiada o drugim planie za historią ukrytym. A co do niebezpieczeństw nauki i techniki, niewątpliwie wydziedziczających człowieka, trzeba starać się je określić, nie po to jednak, żeby wrócić do stanu kiedy ich nie było, ale żeby przygotować nową naukę, bardziej ludzką i bardziej ludzką technikę.

Moralistyka i poezja źle godzą się ze sobą, stąd też niepokoiło mnie ile razy zaliczano mnie do sędziów, to znaczy dostatecznie czystych, żeby ferować wyroki. Dużo uwagi poświęciłem romantycznej teorii artysty jako człowieka ze skazą niedoczłowieczeństwa, co tak silnie występuje w NIEBOSKIEJ KOMEDII i co w dwudziestym wieku Tomasz Mann obrał za centralny temat swego dzieła. Wiele z odkryć zrobionych w epoce romantyzmu zachowuje dzisiaj prawomocność. Prawdą jest że język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie, uzasadniony jest też osąd poety u Krasińskiego, przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknnością. I słusznie romantyzm zajmował się również rolą poety jako medium, jako instrumentu sił potężniejszych niż on sam. We wczesnym dzieciństwie, kiedy umierałem na dyfteryt, zostałem polecony przez moją matkę szczególnej opiece Matki Boskiej Ostrobramskiej i powróciłem do zdrowia. Rosłem następnie w otoczeniu katolickim i niezwykle silne poczucie grzechu, aż do skłonności manichejskich, przypisuję mojemu religijnemu wychowaniu. Możliwe więc, że stałem się medium, przez które przemawiały głosy pewnej określonej cywilizacji dzięki chrześcijaństwu zakreślającej ostrą granicę między dobrem i złem.

Tym niemniej, otrzymując to zaszczytne wyróżnienie na uczelni, która powstała z Wydziału Teologii Wileńskiego Uniwersytetu, czuję się w obowiązku stwierdzić, że nie jestem poetą katolickim. Kto stosuje w literaturze ten epitet, zakłada tym samym, że inni, bez tego wyróżnika, nie są katolicy, co wydaje mi się i wątpliwe i niezgodne z sensem słowa katholikos, które znaczy powszechny, ogólny. Wprowadzając podziały, łatwo prześlepić to co ludzi łączy, nie dzieli. Jakże często człowiek wierzący znajduje dzisiaj niewierzących pośród osób najbliższych i na odwrót, niewierzący musi odnieść się jakoś do wiary religijnej w swoim bezpośrednim otoczeniu. I myślę, że jedni i drudzy należą do tej samej rodziny umysłów, jeżeli jednoczą się w swoim szacunku dla wielkiej tajemnicy istnienia świata i człowieka, chowając w sercu pokorny podziw dla tego labiryntu sprzeczności, jakim jest nasze życie, wyrabiając sobie dar uwagi, która jeżeli osiąga

dostateczną intensywność, jest, jak mówi Simone Weil, modlitwą. Jakkolwiek siebie nazywają, wszyscy oni są przyjaciółmi człowieka, bo ich postawa szacunku jest odwrotnością pogardy, z jaką odnoszą się do świata i człowieka zadowoleni z siebie wyznawcy teorii i doktryn na wszystko mających odpowiedź. Byłbym szczęśliwy, gdyby moje książki służyły ludziom w szerokim sensie tego słowa nabożnym. I jeżeli zajmowałem się pisarzami religijnymi, jak Simone Weil i Lew Szestow, jeżeli tłumaczyłem i tłumaczę Biblię, to nie bez ukrytej intencji chciałem może pokazać, że nie są to czynności zastrzeżone dla, jeżeli tak rzec wolno, katolików zawodowych.

Próbuję tutaj sprostować, choćby częściowo, pewne opinie o sobie. Jako że obowiązuje zwięzłość, zakończę, zwracając się raz jeszcze do adeptów literackiego zawodu. Jeżeli sądzą oni, że sława jest rzeczą słodką, myślą się. Kto jej zakosztuje, przekona się wkrótce, że jest ona sidłem i śmiertelnym niebezpieczeństwem dla duszy. Pośród pochwalnych szeptów, poklasków, migania fleszów, łatwo popaść w podziw dla siebie i w pewność siebie, która nosi nazwę hubris i jak wiemy z greckiej tragedii, ściąga zasłużoną karę. Miałem to szczęście, że długo żyłem w izolacji i samotności, pisząc jak wtedy myślałem, na przepadłe, a laury zaczęły mnie wieńczyć na dobre dopiero kilka lat temu. I jeżeli coś osiągnąłem, to dzięki samotności, gorzkiej mędrców mistrzyni. Jak i czy podołam tej nowej próbie, przyznaję, nie wiem. Najskuteczniejszym może lekarstwem jest pamiętanie o obrzędowym, symbolicznym charakterze publicznych honorowań i uwieńczeń. Posuwam się nawet tak daleko, że przypisuję im niejako przypadkowość co do osób, które są wieńczone, czyli że gdyby tych osób nie było, należałoby je wynaleźć. Tak jak samotność i brak czytelników nie przesądzają ani o wartości ani o braku wartości dzieła, sława nie stanowi dowodu ani za ani przeciw. Tak wielu sławnych w swoim czasie wspomina się dzisiaj ze wzruszeniem ramion, gdy inni utrzymują swoją pozycję na równi z mało sławnymi za życia. I teraz, kiedy słyszę z ust przyjaciół o moich zasługach bronię się wracając myślą do tych długich a dobrych dla mnie okresów, kiedy sam na sam z moim sumieniem rozpamiętywałem moje niedostatki.